

BEM

POWIESC HISTORYCZNA Z XIX WIEKU

przez WACŁAWA GĄSIOROWSKIEGO.

17

Major stropił się.

— Słusznie pan pułkownik...

— I że przybyłem tu na wezwanie księcia prezesa Rządu narodowego a nie na dowiadywanie się, gdzie i jakie błędy strategiczne popełnił wódz naczelny.

Borodicz wyprostował się.

— Uważałem sobie za obowiązek... widzę, że naprzykrzyłem się...

Bem zreflektował się.

— Nie dziw się mej porywczoci, lecz doku- czyły mi krytyki! I zresztą moja rzecz słuchać a nie rozprawiać!

Borodicz wyjął kilka słów głębokiego uszanowania dla tak podniosłej zasady i napomknawszy coś o komendancich swoich obowiązkach, wysunął się z komnaty.

Bem został sam.

Gdy się to działo, gdy przedsionek i arkady dolne pałacu zasłuchały się w miarowe kroki sztyldwachów, gdy ledwie niekiedy skrzyp otwieranych w oddali drzwi przypomniał pułkownikowi, że siedziba władzy czuwa — na górze, w wielkiej sali namiestnikowskiej, wrzała walka zajadła, tem groźniejsza, że cicha, że tłumiona, że podjazdowa, że pozorami zgodnej rozprawy wystrojona. A przecież nieubłagana, bo oto od dwóch godzin, ścierały się opinie, bo oto od dwóch godzin co jeden głos z całym obywatelskim spokojem zbudował, to inny z równym spokojem zburzył, co jeden miał za myśl zbawczą, wtóry miał za klęskę.

Pięć zaś tylko było głosów, pięciu mężów, których jeden stół nie tylko służył łączył, ale i rozdzielał, bo pięć było poglądów, pięć zdań różnych.

Niekiedy atoli sprawność argumentacji jednego głosu pociągała za sobą zezwolenie drugiego, ale, w momencie, gdy do przekonania trzeciego się do- bierała, gdy szale miała przechylić dwa inne, krzy- żowym atakiem, wydierały mu sojusznika.

Trwał tak. Książę Adam Czartoryski, który jako prezes Rządu, obrady wiodł, coraz niespokoj- niej poglądał ku ściągłej, kościstej twarzy Mora- wskiego. Morawski bowiem decydował. Morawski rozstrzygał. O niego tylko szło. Dla niego Barzy- kowski ścierał się z Niemojowskim, dla niego od- parowywał cierpkie, zgryźliwe uwagi Lelewela. Mieć za sobą Morawskiego, znaczyło dla księcia dokonać, zmódl opozycję, zwyciężyć.

Czartoryski, jak zaprawiony do obław polity- cznych myśliwy, strzegł się zdradzić przedwcześnie, spłoszyć chwielność pana ministra skarbu. Barzy- kowski następował, wiodł naganek, książę czatował w gąszczach ogólnikowych półsłówek, gotów do ciosu, do śmiertelnego strzału. Tę jednak zasadzkę odgadł Lelewel, bo raptem on, który Niemojowskiego nie znośił, który dla przedstawiciela Kaliskiej partii żywił niechęć, teraz wspierał go, podtrzymywał.

Rozprawy przeciągały się, wlokły a wreszcie jęły słabnąć, milknąć. Czartoryski upatrzył chwilę, gdy nad Niemojowskim przewagę wziął minister wojny i Morawskiego wręcz o zdanie zapytał.

Morawski zachłysnął się nieco i już najwyraźniej rację Barzykowskiemu przyznawał, gdy naraz ogar- neła go nieprzewidywana chęć mówienia. Ach, bo w panu ministrze skarbu nie od parady siedział ukryty stylistą. Morawski lubił mówić. I mówił, mówił długo, potoczyście, sadił porównaniami, wypominał Tacyta i Herodota, francuskiemu Kon- wentowi czynił przytyki, romantyzmowi przypinał dowcipne łatki, wzdychał nad gruzami Kartaginy Troi, ćwierć kazania Skargi tchem jednym zacy- tował i pnąc się z myśli na myśl, z allegorii na metaforę, z synkopy na metaforę, w zapale reto- rycznym tak rzecz zbelał, iż utknął na dawno roz- trzygniętym pytaniu, czyli godzi się generała Skrzy- neckiego pozbawiać dowództwa.

Twarz Czartoryskiego przybrała barwę wosku. Barzykowski poczerwieniał. Niemojowski targał swe- jące się pukle włosów. Lelewel ogryzał z upodo- aniem paznogie.

Przez chwilę słyhać było jeno skwierczenie świec.

— Zdaje mi się, — ozwał się książę, skandując- naciskiem wyrazy, że sprawa dymisy generała Skrzyneckiego została zdecydowaną.

— Nie sądzę — mruknął Lelewel.

— O ile znalazłby się odpowiedni następca — powiedział Niemojowski.

— Więc stawiam mości panom zapytanie. — Czyli Rząd ma dyktować rozkazy generałowi Skrzyneckie- mu, czyli imć pan wódz naczelny Rządowi.

— Skrzynecki ma prawo wymagać powolności! Krukowiecki dopuścił się niesubordynacji!

— Nie w tem sedno. Krukowieckiego nie biorę w obronę, nie usprawiedliwiam. Uniósł się. Jestem za tem, żeby go usunąć, lecz dymisy genera- gubernatora nie powinna być zwycięstwem Skrzy- neckiego! Inaczej wrzenie się podnieci...

Tu twarz księcia zwróciła się nieco ku Lelewe- lowi.

— Damy okazywać niektórym do rozdzierania szat, do tem gwałtowniejszych napaści na rzekomego fa- woryta rządu. No a zaiste, Rząd dosyć zniósł dla miłości generała Skrzyneckiego!

— Może znieść i co jeszcze! — syknął przez zęby Lelewel.

— Imć pan profesor jest wytrwałym! Zważcie, panowie, że ledwieśmy z ostrołęckich dobyli się ta- rapatów, generał Skrzynecki śle nam z Modlina, nie raport o stanie forticy, lecz żądanie aresztowania generał-gubernatora, uwięzienia... dwóch generałów, za rzekome knowania z nieprzyjacielem...

— Nie dwóch, ale dwudziestu należałoby stawić przed sądem! — wybuchnął Niemojowski.

— Ale z dokumentami w rękę a nie oto ze świstkami, które nam pan Skrzynecki nadsyła.

— List Roźnieckiego, mości książę.

— Mam go za dowód cnoty naczelnego wodza! Lecz nie cnotę jego poddaję waszemu sądowi — tylko kunktatorstwo, ospałość, wywoływanie roz- terek...

— Siedem grzechów głównych.

— Rząd nie może być na łasce niehumorów ge- nerała Skrzyneckiego.

— Potrzebuje w osobie wodza — podjął z mocą Barzykowski — ramienia silnego.

— Głosuję za udzieleniem dymisy nadewszystko Skrzyneckiemu.

— I ja również — zawtórował minister wojny.

Książę powiódł pytająco dokoła a nie docze- kawszy się żadnej więcej odpowiedzi, — dodał iro- nicznie.

— Mości panowie żądaliście niedawno, aby z akt Rządu wydrzeć list pana Skrzyneckiego, nadesłany z Rożana! — dla przypomnienia więc zacytuję wam początek... „Chcieliście bitwy... chcieli koniecznie, otóż ja macie! Niechże krew przelana pod Ostro- łęką spadnie na wasze głowy... Teraz nie pozostaje wam nic innego“...

Niemojowski się zachnął.

— Jestem za dymisją!...

— I ja owszem, stosuję się — wtrącił Morawski.

— A imć pan profesor?

Lelewel zasunął kanciąstą brodę w halsztuk.

— I tak jestem przegłosowany!

Czartoryski, nie dawszy wytchnienia radzie, za- szachował Krukowieckiego. Lecz tym razem Mora- wski ujął się za generał-gubernatorem.

Książę przecież jednym napomknieniem o „poe- tyce“ Morawskiego, dla której Krukowiecki w bi- twie grochowskiej odmówił posłuszeństwa rozka- zowi, zmógł ministra skarbu.

Narada w ten sposób, znów doprowadzona do zapytania, komu powierzyć dowództwo, jęła ważyć kandydatury!

Niemojowski oświadczył się za Chrzanowskim, — Morawski wyrzucał Łubieńskiego, — Barzykowski proponował za radą kwatermistrza iść i Jankowskiego mianować.

Dwaj pierwsi nie znaleźli poparcia, Chrzanowski, że swarliwy i za młody, Łubieński, że ledwie co nie stracił całego korpusu. Jankowski dłużej się utrzymał ale i ten przepadł wreszcie.

Morawski zagadał o Umińskim. Niemojowski atoli tak gorąco za sprawcę wszystkich niepowodzeń go wystawił, że sam minister skarbu czempredziej bohatera z pod Wawra wymienił. Rybiński jednak pod Rudkami wawerską sławę zaprzepścił. Dwer- nicki był w austriackiej niewoli, Giełgud na Litwie, Małachowski był nadto ociężałym i steranym.

Minister wojny po raz trzeci odczytał pismo Prądzyńskiego i po raz trzeci ubolewał nad uporem kwatermistrza i jeszcze za Jankowskim się wsta- wiał.

Lelewel obstawał za Szembekiem, może dlatego, iż Szembek słuchać nie chciał o dowództwie. Mo- rawski, z utrudzenia wielkiego zapominał, że Kru- kowieckiemu ferował dymisy i doradził mianowanie generał gubernatora.

Lelewel, na to ozwanie się, w głos się rozśmiał. Niemojowski ujął się za ministrem skarbu. Utraczką zrazu podjazdowa, zaostrzyła się.

Barzykowski przeczekał ją umiejętnie, aż gdy zapaśnicy ustali — wrócił do Jankowskiego.

Zważcie, mości panowie, — mówił — żołnierz do- świadczony, odbył kampanię hiszpańską ósmego roku, przetrwał dwunasty, Lipsk, oficer legii honorowej. Rangą starszy od Prądzyńskiego, Łubieńskiego i Szembeka. Charakteru statecznego.

— Brak mu mowności i prezencji — zauważył Niemojowski.

— Tem większa stąd pewność, iż pan dowódzca będzie na usługach Rządu, iż nareszcie rząd nie bę- dzie miał dyktatorskich zachcianek do zwalczania. Gorąco za generałem Jankowskim obstać i nama- wiam waszmość panów. Prądzyński wróci do kwa- termistrzostwa chętnie, ufny powolności wodza. Zy- ska na tem i ład i duch wojska i losy kampanii...

— A jak nie przyjmie?

— Mam zapewnienie prywatne, że się zgodzi.

— Znów ciche porozumienie, bez wiadomości gremium członków, za plecami, według obyczaju — mruknął przez zęby Lelewel.

— Jest pan w błędzie. Kandydatura wynikła z pisma Prądzyńskiego. Ledwie wspomniałem o tem księciu prezesowi.

— Być może, być może. Cóż, unie osobiście wszystko jedno. Głos mój nie ma potężnej głębi orzeczenia pana ministra skarbu naprzykład.

Morawskiemu czub się zjeżył ponad czołem.

— A przecież do waszmości właśnie — zaskrze- czał podrażniony dyszkant Morawskiego — jako do ministra oświaty, należało wspomnieć, że imć pan generał Jankowski synów w Peterburku kształci, chyba nie na chwałę sprawy.

— Nie uczyniłem tego, ileżebys waszmość dobył sposobność do olśnienia nas retoryczną figurą o ry- cerzu tragicznym!

— Nie mam, przyznaję, uczoności autora „Dzie- jów Indyi“.

— Tem bardziej waszmość powinienes zważać, bo stylem Polski nie ocalisz.

— Ani wywodami o królu Łokietku! — odciął się Morawski, czyniąc przytyk do utworu Lelewela.

Barzykowski pośpieszył z rozejmem, lecz nim przeciwników ułagodził, Jankowski przepadł i tym razem przepadł bezpowrotnie.

I znów zmora ciszy, przymusu, wytartych fra- zesów zapanowała w sali obrad. Książę napomynał o potrzebie decyzji, Niemojowski do energicznego czynu nawoływał, Barzykowski mu wtórował, Mo- rawski chwał głową na znak aprobaty a Lelewelowi potężny nochal zwiśł do reszty z dostrajania się do racji Niemojowskiego.

Tymczasem poprzez wielkie okna do sali jęły się skradać pierwsze szarofioletowe promienie po- światy. I płomienie świeczników żółkły i zmęczone twarze obradujących trupiały znaczyły barwą.

Naraz nieruchome, woskowe oblicze Czartory- skiego drgnęło. A w ślad za niem martwe spojrze- nia dostojników narodu ocknęły się.

Z ust księcia dobyło się nazwisko krótkie, mo- cno brzmiające, — dobyło się, wzbiło ponad biegnący w górze krążganek i ozwał się hardem echem, znikło w obłokach fresku na suficie.

Płomienie świeczników skłoniły się, jakby wie- wem ożywym muśnięte i zaskwierczały rażno.

— Kto — kto?! — zagadnął równocześnie chór beładnych głosów.

— Pułkownik Bem! — powtórzył śmiało Czartoryski. I nie zważając, iż cztery spowodował okrzyki zdumienia, iż czterech członków Rządu narodowego przypawił o zamęt, niepewność, — ciągnął śmiało:

— Mości panowie, zmiana naczelnego wodza łączyć się winna z odrodzeniem, z wysunięciem ta- kiego oficera, takiego męża, któryby niejako nową erę zapowiadał, który by był dziecięciem rewolucji. Każda epoka własnych musi stwarzać sobie naczelników. Przeszłe zasługi, sława zdobyta pod murami Saragossy, jakżeśmy się przekonali, może nie powtó- rzyć się pod murami Warszawy. Bem, od Grochowa, wykazał się znakomicie we wszystkich bitwach. Przytomnością, bystrością, odwagą i rzutnością wła- sną, generalskie objawił talenty. Za Iganie wart był nie podpułkownickiego stopnia, lecz dywizyi. Pod Ostrołęką zażył swej baterii w sposób, o którym nie śniło się nauce strategii, nieruchomy, bezwładny spiż zaklął lotnością harującego podjazdu kawalerii. Oficer karny, do dziwactwa rygoru strzegący...

Oczy Lelewela strzeliły zezem. Czartoryski uprze- dził pierwszy cios i dodał.

— Na zakończenie, daję wam parol, mości pa- nowie, iż z pułkownikiem Bemem, od czasu służbo- wego prezentowania go członkom Rządu w obozie, na Pradze, po Grochowskiej bitwie, — żadnych nie miałem spotkań. Skłania mnie ku niemu wiara w jego zdolności, w jego zalety.

Książę umilkł. Nastąpiła chwila ciszy, niepewności. Morawski podejrzliwie poglądał na Barzykowskiego, Barzykowski na Niemojowskiego. Lelewel zgarbił